

M. MC. DONNELL BODKIN.

STRZAŁ

2)

Przekład z angielskiego.

Namiętny gniew Neville'a uspokoił się równie szybko jak wybuchnął. Jego piękne czoło rozpogodziło się, a w głosie nie było już ani śladu gwałtownego wzburzenia, gdy odparł:

— Ma pan zupełną słuszość, panie Wardle. Co ma się ze mną obecnie stać? Czy muszę się uważać za pańskiego więźnia?

— Lepiej nie. Musi pan zrobić jeszcze niejedno do czego potrzebną panu będzie wolność. Proszę mi dać słowo honoru — więcej nie wygamam.

— Słowo honoru — na co?

— Że stawisz się pan, kiedy będzie potrzeba.

— Ależ człowiecze nie będziecie mnie chyba uważali za tak szalonego. abym uciekał, kiedy wniesiono przeciw mnie oskarżenie o morderstwo.

— Niechże sobie jasnie pan tak znów nie bierze tego do serca. Londyński detektyw już tam wszystko rozjaśni, niech pan będzie pewny. — Czy dostanę przyrzeczenie?

— Tak, daję panu moje słowo honoru.

— Może lepiej-by pan zrobił wracając do domu. Służba przebąkuje do siebie rozmaite rzeczy. O ile możności będę się jak najmniej pokazywał, a o tem co pomiędzy nami zaszło nie potrzebuje nikt wiedzieć.

Kiedy John Neville wracał aleją do domu, domu, dopędził go lekki fałtonik, który zatrzymał się tak nagle, że żwir rozprysnął się na wsze strony z pod kopyt końskich. Silny, wysoki mężczyzna, zajęty dotychczas żywą rozmową z woźnicą, zeskoczył na ziemię tak lekko, jak nie można się było tego spodziewać po jego tuszy.

— Pan John Neville, jeśli się nie mylę? Nazywam się Beck — Paweł Beck, tajny agent.

— Czy możliwe, p. Beck? Sądziłem że pan nie może przybyć tutaj przed północą.

— Specjalny pociąg — rzekł Beck z ujmującym uśmiechem — W pańskiej depeszy były słowa: „Koszta obojętne”. Czas jest częstokroć bardzo cenny. A także w takich wypadkach spokój i wygodę mają niemałą wartość, przeto zamówiłem sobie specjalny pociąg i oto jestem na miejscu. Jeśli pan pozwoli wysłę powóz napizód, a sami pójdziemy dalej pieszo. A to nie ładna historia, panie Neville. Zabity strzałem jak mi powiada woźnica, Czy na kim ciąży podejrzenie.

— Mnie podejrzewają o spełnienie tego czynu — wybuchnął głośno i gwałtownie John Neville.

Beck przez chwilę spojrzał nań pytająco, nie zdradzając wszakże najlżejszego zdumienia.

— Skąd pan o tem wie?

— Konstał miejscowy Wardle powiedział mi to w oczy. Muszę to uważać za specjalne względy z jego strony, że nie zaarrestował mnie na miejscu.

Beck przeszedł kilkanaście kroków obok John Neville'a.

— Czyż nie miałby pan nic przeciwko temu, aby mi dokładnie powiedzieć, dlaczego na pana pada podejrzenie? — spytał poufale.

— Nic a nic.

— Nie upominam pana do ostrożności, ale również nie mogę panu nic przyrzec — ciągnął szybko detektyw. — Chodzi mi o odkrycie prawdy. Jeżeli pan uważa, że prawda będzie dla pana korzystna niech pan najlepiej mi w tem pomoże. Wiem, że takie postępowanie nie jest całkiem zgodne z prawem, ale nic mi na tem nie zależy. Widzi pan, panie Neville, jeżeli kogoś oskarżają o zbrodnię jest zawsze jeden świadek, który wie, czy człowiek ten jest winny, czy nie. Drugiego świadka częstokroć niemożna wynaleźć. Pierwszą rzeczą jednak, którą wedle prawa brytyjskiego przedsięwzięć się dla uzyskania prawdy jest zamknięcie ust temu jedynemu świadkowi, który zna prawdę. Ale ja nie zaczę sprawę w ten sposób. Pozwalam chętnie niewinnemu opowiedzieć całą historję na swój sposób i nie robię sobie wyrzutów sumienia, kiedy winnego — jeśli mi się to uda — wciągając w pułapkę.

Przy tych słowach spojrzał otwarcie w oczy Johna Neville'a a młody człowiek nie umknął przed jego wzrokiem.

— Zdaje mi się, że pana rozumiem. Co pan chce wiedzieć? Od czego mam zacząć?

— Proszę opowiadać od początku. Jaki był powód sprzeczki, którą pan wczoraj prowadził ze swoim stryjem?

Neville zawahał się przez okamgnienie, co nie uszło uwagi tajnego agenta.

— Nie ja spowodowałem sprzeczkę, ale raczej on ją wywołał. Sprawa mianowicie przedstawia się następująco: Między moim stryjem a pułkownikiem Peytonem, jego sąsiadem panuje śmiertelna nieprzyjaźń. Dobra ich graniczą ze sobą i pokłócili się o prawo do polowania. Mój stryj wpadał często w gwałtowny gniew i nazywał pułkownika „ordynarnym kłusownikiem”. Ja nie brałem w kłótni żadnego udziału i, kiedy później spotkałem się znów z pułkownikiem, zrobiło mi się nieswojo, ponieważ wiedziałem, że stryj nie ma słuszości. Pułkownik spotkał mnie jak najgrzeczniej. „To nie może przeszkadzać naszej przyjaźni. John — powiada — cała ta kłótnia jest niedorzeczna i dałbym chętnie swoje najlepsze łowisko, żeby do niej nie było nigdy doszło. W obecnych czasach nikomu nie przynosi zaszczytu stanąć do pojedynku, a dwaj słachcice nie mogą się nawzajem przezywać niby przekupki. Sądzę jednak, że nikt nie będzie mnie uważał za tchórzeza dlatego, iż wstrętny mi jest wszelki skandal”.

— „Pewnie” — odparłem. — Pułkownik bowiem odznaczył się w rozmaitych bitwach. Łucja pokazywała mi raz jego krzyż Wiktorji, który przechowuje w zamkniętej szufladce. Łucja jest jego jedynaczką, którą kocha nad życie. Rzecz naturalna nie przerwałem stosunków z pułkownikiem, ponieważ lubiłem go i jego dom stał dla mnie zawsze otworem. Ale dla mojego stryja była nasza przyjaźń powodem do gniewu. Ostatnimi czasy bardzo często chodziłem do domu pułkownika i o tem mu doniesiono. Wczoraj przy obiedzie tak grubiańsko wyrażał się o pułkowniku i jego córce, że musiałem ich wziąć w obronę. „Ty bezwstydnego chłopcze” — wrzasnął na mnie — „skąd ci przyszło do głowy brać przede mną w obronę tego parwenjusa?”

— „Peytonowie pochodzą z równie dobrej rodziny jak my stryju” — odparłem. — „Zresztą oświadczyłem się o rękę panny Łucji i zrobiła mi ten zaszczyt, że przyrzekła mi zostać moją żoną”.

Wówczas stryj wpadł w wściekły gniew. Jak wyrażał się o pułkowniku i jego córce, tego nie mogę powtórzyć. Nawet po jego śmierci trudno mi przebaczyć mu te słowa. Przysiągł, że już nigdy nie raczy na mnie spojrzeć, jeżeli tak dalece się poniżę, by zgodzić się na to małżeństwo.

— „Niestety dobra te są majoratem i nie mogę cię wydziedziczyć” — krzyknął. — „Ale uczynić z ciebie żebraka, dopóki ja żyję — to potrafię. A na złość tobie będę żył jeszcze ze czterdzieści lat. Ten kłusownik może cię przyjąć za zięcia, kiedy tylko zechce. Idź i sprzedaj się jak najdrożej, żyj z majątku swej żony, jeżeli ci się zachciewa”.

Wtedy nakoniec zółć we mnie wezbrała i powiedziałem mu, co o nich sądzą.

— Czy może pan sobie jeszcze przypomnieć dokładnie słowa? To bardzo ważna rzecz — spytał Beck.

— Powiedziałem mu, żeby swe lekceważenie zachował dla siebie. Ja poświęcę Łucji Peyton całe swe życie, a nawet pójdę dla niej na śmierć, gdy będzie potrzeba, bo do niej należy moje serce.

— Czy powiedział pan: „Przynajmniej tem się pocieszam, że nie możesz żyć wiecznie”? Woźnica mi o tem opowiadał. Jak pan widzi, to kłótnia jest już na ustach wszystkich. Niech się pan dobrze namyśli — czy powiedział pan to?

— Zdaje mi się, że tak. Tak, teraz wiem już napewno, ale byłem tak wściekły, że nie mogłem ważyć swych słów. W każdym razie ani w przybliżeniu o tem nie myślałem...

— Kto jeszcze był w pokoju podczas kłótni?

— Tylko mój brat stryjeczny Eryk i kamerdyner.

— Lokaj prawdopodobnie rozniósł tę historję?

— Bez wątpienia. Eryk z pewnością tego nie zrobił, gdyż ta scena była dla niego równie przykra jak dla mnie. Usiłował nawet pośredni-

czyć między nami, ale to rozdrażniło tylko stryja jeszcze bardziej.

— Do jakiej kwoty dochodziła suma, którą panu wypłacał?

— Tysiąc funtów rocznie.

— Prawdopodobnie miał prawo zatrzymać panu te pieniądze?

— Rozumie się.

— Ale majątkiem ziemskim nie wolno mu było rozporządzać. Pan był jego prawnym spadkobiercą i pan jest w tej chwili właścicielem zamku Berkly.

— Tak jest, ale aż do obecnej chwili ani jedna myśl moja nie dotyczyła tej sprawy, niech mi pan wierzy.

— Kto po panu następuje w dziedzictwie?

— Mój stryjeczny brat Eryk, który jest to cztery lata młodszy ode mnie.

— A po nim?

— Jakiś daleki krewny, którego prawie nie znam. Nie cieszy się dobrą sławą i wiem, że mój stryj i on wzajem się nie cierpieli.

— Jaki był stosunek pomiędzy pańskim stryjem i pańskim bratem stryjecznym Erykiem?

— Pozostawiał wiele do życzenia. Stryj nie cierpiał ojca Eryka — swego najmłodszego brata — i także względem Eryka był często nieprzyjazny. Wymyślał na nieboszczyka ojca w obecności syna, nazywał go okrutnym, podstępny i tem podobnie. Biedny Eryk często cierpiał wskutek tego. W sprawach pieniężnych traktował go stryj hojnie, dawał mu tyle, co i mnie, pozwalał mieszkać w zamku i nie odmawiał mu niczego. Ale niekiedy dotykał ciężko biednego chłopca gniewnymi albo szyderskimi słowami, lecz Eryk zdawał się go pomimo wszystko lubić.

— A teraz co się tyczy morderstwa — tego wieczoru nie widział się już pan zapewne ze swoim stryjem?

— Wogóle nie widziałem go już żywego.

— Czy wie pan, co robił następnego dnia?

— Tylko ze słyszenia.

— Takie świadectwo jest niejednokrotnie bardzo cenne, chociaż sąd jest przeciwnego zdania. Co panu o tem powiedziano?

— Mój stryj był namiętnym myśliwym, inaczej nie byłby rozpoczął kłótni z pułkownikiem. Dzierżawił moczar, bekowisko cietrzewi o dwadzieścia mil stąd i nie zaniedbywał nigdy początku polowania. Przy pierwszym okrzyku samca wybrał się w drogę ze swym nadleśni, czym Lennoxem ja miałem także iść z nim, ale potem, co zaszło nie towarzyszyłem im naturalnie. Zupełnie wbrew swym zwyczajom stryj wrócił już o dwunastej i udał się natychmiast do swego gabinetu. Siedziałem właśnie przy biurku i słyszałem, że przechodził ciężkimi krokami mimo moich drzwi. Później zastał go Eryk śpiącego mocno na kanapie. Zaledwie pięć minut potem, skoro go opuścił, usłyszałem strzał i wpadłem do pokoju stryja.

Czy zbadał pan wszystko dokładnie, ujrzawszy, że stryj nie żyje?

— Nie, Eryk to proponował, lecz ja się sprzeciwiłem. Zamknąłem zaraz drzwi i wyjąłem klucz, dopóki pan nie przybędzie.

— Samobójstwo pewnie jest wykluczone?

— Wedle mego zdania, tak. Rana jest zadana w tył głowy.

— Nie wie pan, czy pański stryj posiadał jakich wrogów?

— Kłusownicy nienawidzili go wszyscy, gdyż prześladował ich niemiłosiernie. Raz jeden drab strzelił do niego, na co mój stryj odpowiedział strzałem i strzeskał mu nogę. Najpierw kazał go zawieść do szpitalu, dopóki się nie wyleczy, a potem zaskarżył go i wpakował na dwa lata do więzienia.

— Sądzi pan więc, że zamordował go jakiś kłusownik? — spytał Beck spokojnie.

— Nie wiem, jak mógłby to uskutecznić. Mój pokój leży przy tymsamym korytarzu, przeto musiałby przechodzić mimo moich drzwi. Skoro tylko usłyszałem strzał wypadłem z pokoju, lecz nie ujrzałem nikogo.

— Może morderca umknął przez okno?

— Eryk powiada mi, że stał razem z ogrodnikiem tuż pod oknem.

— Jakże tedy, wyflumaczy pan tę sprawę, panie Neville?

— Jest nie do wyflumaczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).